

Andrzej Walter

# Mamo, ja nie płaczę

## (choć nieraz wiem, że wszystko może być inaczej...)

Do salonu mych myśli wkracza dyskretnie ten oto Autor. Nazwany już: *poetą z urodzenia, Homerem z Wrocławia*, bardem, pieśniarzem, poetą ptakiem czy człowiekiem orkiestrą. Patrzą na Niego... i widzę... Cały przecież jest poezją, jest cały z poezji, na poezję patrzy z najgłębszą miłością tego świata. Tego i zapewne... tamtego świata...

- Patrzy?...

Ależ tak, On patrzy. Patrzy najdzielniej i najmocniej jak potrafi. Patrzy przecież inaczej, ale patrzy jakoś tak czule i wnikliwie... a przy okazji stanowczo. Zawsze wiedział dokąd zmierza. To Niebo Poetów, poza drugą stroną tęczy, kraina szczęśliwa i nieśmiertelna. On nie boi się nieśmiertelności.

*Patrzy sobie wzrokiem hardym, / silnym, władczym, bardzo twardym, / i spojrzeniem swym stalowym, / jakby ciągle nie gotowym (...), / jakby światem tym zawładnął / jakby świata sen przygarnął / i połamał serc podkopy. / Czapki nasze z mądrej głowy. / Drogie Panie i Panowie... / Oto nadszedł On, w tym słowie... / Czy nas zbawi, czy rozbawi, czy przybliży wieczne sprawy? Tego nie wiem drogi gościu...*

Żeby zrozumieć i ogarnąć całe wyrafowanie, specyfikę oraz twórczość tego Autora musimy się cofnąć ponad siedemdziesiąt lat wstecz do polskiego Lwowa roku 1942, w którym dziewięcioletni chłopiec został siłą rzeczy wciągnięty w tę okropną wojenną zawieruchę i dla ocalenia wielkiej sprawy został łącznikiem Armii Krajowej. Gestapo i Niemcy nie mieli dlań litości. Okrutnie pobity traci wzrok... taką cenę płaci za wolność naszą i waszą... za wiarę w ideały, za swój romantyzm. Przyjdzie mu teraz nieść bagaż tego szaleństwa już stale.

Po latach chłopiec ten, nasz Autor, pisze taki oto, przejmujący wiersz:

*Mamo ja nie płaczę  
bo twardy jestem jak kamień  
ale kamieniem być nie łatwo  
gdy się nie widzi czy jest światło*

Oto stoi przed Tobą ten przedziwny, czuły i na wskroś przepełniony słowem Autor, On - Andrzej (niektórzy mawiają - Wielki) Bartyński oraz jego wierna i wytrwała muza (Żona) Krzysia wraz z kontredansem bogactwa myśli i wykreowanych postaci Salonu Jego Myśli... które wciąż wytrwale spisuje, od dłuższego już czasu, dla „Gazety Kulturalnej” Andrzeja Dębrowskiego, no i oczywiście dla nas, czytelników - dzieląc się z nami tym fascynującym i nierealnym światem, wytworem Jego nieposkromionej wyobraźni, afirmacji radości, poezji, życia i przyjaźni. Słowa te nasz Autor - Andrzej Bartyński traktuje

bardzo poważnie. Z całą, rzekłbym, powagą na jaką swym ciężarem gatunkowym oraz niesioną treścią słowa te zasługują.

Życie, radość, poezja i przyjaźń. Te cztery. Nic więcej. (...w imię radości życia, poezji i przyjaźni zapraszam na ucztę motyla - taką dedykację otrzymaliśmy z Jagusią w tomie „Uczta motyla” od Andrzeja...)

Niczego więcej nie potrzebujemy, my, poeci, czy też te nasze karkołomne drogi do nieba, te nasze obolałe, niespełnione marzenia, i nasze zadziwiające spojrzenia w przyszłość i w przeszłość, czy też nasza gorąca, żarliwa miłość. Może jeszcze tylko potrzebujemy odrobinę nadziei, tak, jeszcze tylko Jej tutaj dziś jakby trochę brakuje, choć karmimy się Nią wbrew rozsądkowi...

*„A w salonie mych myśli każdy jak chce  
sobie myśli i gdy pozwala mu na to rozsądek  
wie, że się kończy każdy początek”.*

Oto pisze nam Andrzej Bartyński, jakby drwi z nas, zakaża nas, hałasuje nam i wciąga nas w wir - radości, poezji, życia i przyjaźni, tym czterem - wbrew wszystkiemu.

To jest niesamowite: jak bawi się słowem, jak zongluje rytmem, rymem i metaforą, jak maluje nam słowem i stwarza jakiś fantastyczny, postmodernistyczny obraz, jak bawi się współczesnym językiem, jego zmysłowością, kontekstem, fleksyjnością i otoczeniem, kontekstem społecznym, czy też wręcz medialnym, jak splata losy słów, z losami świata, jak scala toczącą się za oknem codzienność, z wydarzającą się w telewizorze i w realu jakąś historią, ze swoimi przedziwnymi, niepowtarzalnymi i niesamowitymi bohaterami właściwymi tylko Jego ekscytującym doznaniom: *głosem zza pieca, okienną framugą, rozległą podłogą*, ależ oczywiście i jakżeby inaczej - bohaterom z krwi, kości i ducha - z filozofem Panem Nietworem, z jego wiernym asystentem Danielem Spanielem, z błękitnooką i złotowłosą Wiosną, czy w końcu z piwnooką, jak heban czarnowłosą Luną. I wreszcie wszędzie jest tam obecny i dyrygujący całością On, nasz wciąż zadziwiający Autor oraz ten wytworny, przedziwny, nowatorski Salon Jego Myśli.

Mieliśmy oto, przez ostatnie kilka lat okazję być obserwatorami oraz wręcz (w pewnym sensie) współtwórcami żywej tkanki tworzenia się książki. Książki, która może przecież (a nawet powinna) powstać z tych tętniących życiem felietonów. Mieliśmy szansę widzieć, czuć i wnikać w tę wyjątkową książkę życia naszego Autora, stworzoną jakby „na żywo”, gdzie autor ten aktywnie konfrontował siebie i swój wyjątkowy wszechświat z całym naszym marnym i ograniczonym

wymiarem świata, gdzie autor ten rozniecał rytmicznie i miarowo swój unikatowy, pulsujący inną rzeczywistością kosmos oraz odmienną od naszej, realność nierealności - kreując ponoć wręcz nowy gatunek literacki - felietomat (jak nazwał go kreatywnie i twórczo Henryk Gała) i publikując go miesiąc w miesiąc w „Gazecie Kulturalnej”.

Ależ tak. Autor był uparty. I był dzielny. Niezachwiany w swej determinacji. Stworzył sobie na użytek doszlifowania efektu finalnego taką mikro marketingową grupę docelową (badawczą) w postaci kilku (nazwijmy to) „wybrańców” i konsekwentnie odpytywał nas: ...z wrażeń, robił nam *kartkówki z myśli*, kazał snuć *wypracowania z przeżyć*, testował nas jak papierek lakmusowy życia w obliczu malowanego słowem obrazu. Malowanego jego słowem, jego wyobraźnią, z jego przedziwnego, skaleczonego (przecież) świata, jego puszyste, bujnej, niekieleznej fantazji, jego morfologicznych wręcz wizji, aż wreszcie jego własnej mitologii. Niektórzy się na tym potknęli, niektórzy nie wytrzymali i nagle wysiedli w pół drogi, niektórzy nie ogarnęli cierpliwie całości, nie nadążyli za tym literackim (było, nie było) wyzwaniem. Nie zrozumieli oni Autora. Często nieświadomie. Brakło im właśnie wyobraźni. A tu trzeba było być wizjonerem. Z całym bogactwem otwartości na odmiennosc, na nowatorstwo, na sztukę, gdyż tak się właśnie tworzy się prawdziwą sztukę w dzisiejszym świecie.

To świat (ten zwyczajny, za oknem) - nie zaprzeczajmy - w którym wszystko już było. Zatem tylko odwagą, brawurą oraz formami eksperymentalnymi możemy kreować nowe światy i nowe estetyki i nowe lądy odkrywać... Być dziś kapitanem na tym statku, na wzburzonym oceanie rzeczywistości, wobec sztuki, wciąż żywej i tajemniczej, w którą wierzymy i która pozwala nam żyć i czekać na jutro, w świecie, w którym formy komunikacji przerosły uczucia, w którym chaos informacji i natłok obrazów zabija wszelkie myśli, w którym wirtualność dyskredytuje dotyk. W takim właśnie świecie mistyka Salonu Jego Myśli jawi się jako coś niesłychanego. Jest jednak coś jeszcze...

Do salonu mych myśli wkroczył więc po prostu On - ten przedziwny Autor, Andrzej Bartyński i powiedział:

*Mamo ja nie płaczę  
bo twardy jestem jak kamień  
ale kamieniem być nie łatwo  
gdy się nie widzi czy jest światło  
w życiu oczy mieć warto  
a ja mam tylko noc i noc*

(Dokończenie na stronie 4)